№ 12. Warszawa, dnia 7 (19) Marca 1887 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 10 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

TREŚĆ: Od Redakcyi. — Kronika paryzka, przez Sewerynę Duchińską. — Czemu? (wiersz). — Pierwsze kłopoty, z czeskiego przełożyła Helena R. (dalszy ciąg). — Zbrodnia w Awersie, dramat przez Karola Brzozowskiego (dalszy ciąg). — Kilka dni w Nowym-Yorku, przez Sewerynę Duchińską (dalszy ciąg). — Z krainy piękna. — Wiadomości z pod naszej strzechy i z obczyzny. — Zawiadomienia. W Dodatku: Kobieta, przekład J. Belejowskiej (ar. 1).

OD REDAKCYI.

Zawiadamiamy niniejszem, że po ukończeniu obecnie drukującej się powieści w dodatku, natychmiast rozpoczniemy nową p. t. ***Pani w rubinach*** przez Marlitt'a po niemiecku napisaną w dwóch tomach, a następnie powieść jedno tomową z angielskiego p. t. ***Talizman Linwoodów***.

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Nowa powieść Emila Zoli pod tytułem „Ziemia", wkrótce wyjdzie na widok publiczny. Autor nie chciał drukować jej w żadnym odcinku dziennikarskim, ale wyda ją całkowicie w osobnym tomie. Przyczyna zapewne ta, że powieść będzie raczej szeregiem zagadnień ekonomicznych, niźli dramatycznych sytuacyi, przez to samo wiele musiałaby stracić, drukowana częściowo w feiletonie.

Pierwszą rolę w powieści odgrywa Ziemia, rozdział posiadłości ojcowskiej pomiędzy dzieci, stanowi główną jej osnowę.

Uproszony przez dziennikarzy autor, udzielił im kilku obrazków, pełnych miejscowej barwy, tryskających życiem, przesiąkłych wonią właściwą ziemi, przytaczamy z nich obraz Siewcy.

„Jan tego poranka opasał biodra złożoną wpół płachtą błękitną, zadzierzgnął ją na węzeł, napełnił zbożem; lewą ręką podtrzymuje otwór, prawą zaś, co postąpi trzy kroki, bierze z płachty garść ziarna i podrzuca przed siebie. Grube jego buty, całe oblepione tłustą ziemią; krzepka postać kołysze się za każdym krokiem, a ilekroć uniesie rękę do góry, z po za płowych ziarn rozpierzchłych w powietrzu, wygląda czerwony galon, starego zużytego munduru. Idzie naprzód krokiem poważnym, a za nim wlecze się pomału brona, wprzężona w parę koni, nad któremi poganiacz do taktu potrzaskuje biczyskiem."

A oto inny obraz, w rozleglejsze ujęty ramy.

„W okolicach Chartres, ciągnie się szeroka przestrzeń. Pod niebem zachmurzonem jak zwykle w końcu Października, na milę wokoło, widzisz kwadraty z oranej ziemi, odbijające szaro od zielonych łanów pokrytych lucerną i koniczyną. Nigdzie nie dopatrzysz pagórka ani drzewa. Daleko, daleko, jak zasięgniesz wzrokiem, płaszczyzna gładka, równa jak morze, tonie we mgle sinawej. Od zachodu tylko, maleńki lasek tworzy niby rudawą wstęgę. W pośrodku idzie bity gościniec, to droga z Chateaudun do Orleanu, biała jak kreda, prosta, poprzecinana w regularnych odstępach, długim szeregiem słupów telegraficznych. Na tem morzu bez granic, rysują się tylko trzy lub cztery wiatraki, o nieruchomych skrzydłach i małe wioski istne wysepki, a gdzieniegdzie, szara dzwonniczka strzela ku niebu z kościołka ledwie dostrzeżonego wzrokiem.

„Sieją a sieją na wszystkie strony. Jeden sieje na lewo, drugi wprost, trzeci po prawej ręce, inni sieją za nim o trzysta metrów dalej. Jak dosięgniesz oczyma, wszędzie siewcy a siewcy. W miarę oddalenia sylwetki ich maleją, aż w końcu widzisz tylko rozrzucone tu i owdzie czarne centki. Ale każda centka przedstawia typ jednaki, każda z garścią ziarna rozsiewa życie wkoło siebie. Dolina cała drga jakiemś żywotnem tętnem."

Autor maluje kolejno wszystkie prace rolnika: sianokos, żniwo, winobranie. Obrazy jego wzięte prosto z natury. Prowantczyk po ojcu, urodzony u podnóża Alp nadmorskich, Zola, po kądzieli pochodzi z rodziny wieśniaków, osiadłych w żyznej

okolicy Beance, zwanej śpichlerzem Francyi. Tu w zagrodzie wieśniaczej, pod okiem dziadka i babki, przepląsał on dziecinne swe lata.

Jeżeli utalentowany autor, nie obryzga błotem tych obrazów, aby im nadać tem prawdopodobniejszy pozór, utworzy piękną powieść, pełną życia i barwy samoistnej. Jakkolwiek mieni się Zola pisarzem czysto objektywnym, w każdej przecież powieści jego, leży na dnie jakaś myśl dodatnia i budująca. Nie napróżno zowie on Balzaka mistrzem swoim, jak tamten maluje społeczne brzydoty z tą jedynie różnicą, że obracając się wśród innych warstw społecznych, szpetniejszym kolorytem zaprawia swe obrazy. Naśladowcy Zoli spotęgowali jeszcze ten koloryt, ale pod względem talentu, głębokości pomysłów i myśli przewodniej, daleko pozostali za autorem „Nany” i „Germinala”.

* * *

Rozmaite prądy wstrząsają dziś literaturą francuzką. Pogoń za oryginalnością, spędza sen z powiek nowych powieściopisarzy. Dziwny jakiś niepokój zapanował w umysłach, jak zwykle bywa przed stanowczym przełomem. Najsilniej powiewiewa prąd pessymistyczny, walący w kupy gruzów to wszystko co człowiek ukochał, do czego przyrósł duszą całą. Z tych powieści wspomnimy tylko jedną, pod tytułem „Kalwarya”, przez oktawa Mirbeau. Owa Kalwarya nie ma żadnego związku z tą, po której stąpał obciążony krzyżem Zbawiciel. Jest to poprostu wykrzyk rozpaczliwy młodzieńca, zdradzonego przez lekkomyślną kochankę. Ale zostawmy na boku wątek powieści, a weźmy na uwagę ustęp, który wywołał tu gwałtowną polemikę.

Rzecz dzieje się w ciągu *Strasznego roku*, podczas ostatniej wojny. Młody wolontaryusz francuzki, stojący nocą na posterunku pod lasem, spostrzega na drodze pruskiego ułana, chwyta za strzelbę, mierzy... Prusak upadł na ziemię, krew z postrzelonej piersi stoczyła się po murawie czerwoną strugą. Na widok tej krwi żołnierz francuzki, czuje w sumieniu gwałtowny wyrzut. Podnosi trupa z ziemi, całuje go, mieni się bratobójczym Kainem.

Ale na tem nie dosyć. W kilku jaskrawych obrazach, autor maluje sceny bolesne dla Francyi, ubliżające miłości własnej narodu. Pokazuje wojsko pierzchające w bezładzie, gnane postrachem: smutne te sceny przeplatane smutniejszemi jeszcze uwagami. „I czemże — mówi on — ta ojczyzna, której każdy krok, naznaczony na ziemi nowym grobem? na której skinienie, spokojne nurty rzek naszych, ściekają krwią czerwoną? ta ojczyzna, która w nieprzebłaganym pochodzie zostawia za sobą cmentarzyska, napełnione kośćmi wybranej dziatwy ludzkiej.”

Te humanitarne idee oburzyły patryotów francuzkich, ale niestety, wielu krytyków uznających wyłącznie zasady *sztuka dla sztuki*, przyklasnęło autorowi, gdyż powieść jego napisana pięknym stylem, pełna kolorytu i drgających życiem obrazów!

Powieść ta wyszła nasamprzód w piśmie peryodycznem „Revue Nouvelle”. Redakcya Przeglądu opuściła owe antipatryotyczne manifestacye. W osobnem wydaniu przywrócił je autor, znać jak wielką przywiązuje do nich wagę!

* * *

Materyalistyczny kierunek, panujący w dzisiejszej literaturze francuzkiej wywołuje też silną protestacyą. Ostro wystąpiła przeciw niemu, utalentowana autorka, znana pod pseudonimem Henri Greville. Spędziła ona lato w Stanach Zjednoczonych, jesienią wróciła do Paryża. Parę tygodni temu, słyszeliśmy ciekawy jej odczyt o kobietach amerykańskich. Dzieli je na dwie kategorye, na przeuczone i na niedouczone. Pierwsze grzeszą pedanteryą i popędem do śmiesznej emancypacyi, drugie zbyteczną naiwnością i zamiłowaniem w strojach.

Nie uszedł przed uwagą pani Greville, jakiś żal Amerykanów do Francyi. Główną jego przyczyną, grana tu przed kilku laty sztuka Wiktoryna Sardou, pod tytułem „Onele Sam”, w której biegły komedyopisarz, wziął za cel niewczesnych pocisków, całe społeczeństwo amerykańskie. Nie mogą mu tego przebaczyć. Dochodziły ją też z za oceanu skargi na dzisiejszy zwrot literatury francuzkiej. W tym względzie pani Greville przyznaje zupełną słuszność Amerykanom:

„Gdyby wiedzieli autorowie nasi — woła z głęboką boleścią — jaką krzywdę wyrządzają Francyi, jak surowy sąd cudzoziemców ściągają na cały naród, przyszliby może do upamiętania i w godniejszy sposób używaliby talentu swego.

* * *

Dzieło D-ra Ochorowicza, pod tytułem „De la Suggestion Mentale” (o oddziaływaniu myślą), wydane w języku francuzkim przed trzema miesiącami, znalazło tu niesłychane powodzenie. Czytaliśmy mnóstwo sprawozdań z tej pracy, tak w specyalnych przeglądach, poświęconych ściśle naukowem badaniom, jak i w codziennych pismach, zajmującem się tem wszystkiem co błyszczy, co powszechną zwraca uwagę. Na posiedzeniach Towarzystw naukowych, autor nasz otrzymuje bezustanne dowody wysokiego uznania. Do najchlubniejszych świadectw, należy to, jakie mu publicznie złożył uczony profesor Taine, w Towarzystwie Psychologicznem, porównywając naukowe wywody D-ra Ochorowicza, „do odkrycia nowych wysp w Jeografii, tam gdzie ich nikt nie podejrzywał.”

Powtórzymy tu, cośmy już mówili gdzieindziej, że nie mamy pretensyi, do oceniania dzieła tego rodzaju, ale dla zaznaczenia jego doniosłości, przytaczamy sądy uczonych specyalistów. Zostawiamy na boku te, jakie przez nas ogłoszone były w innych pismach, dodajemy dziś tylko nową ocenę, drukowaną kilka dni temu w przeglądzie miesięcznym „L'Aurore”, z połowy Lutego.

Autor recenzyi chwali naprzód jasność wykładu, pomimo zawiłości przedmiotu i całkiem nowej nomenklatury. Następnie podnosi tendencyę humanitarną, w potępieniu doświadczeń odbywanych w szpitalu *Salpêtrieré*, które podtrzymują histeryą zamiast ją leczyć, zaznacza przezorność autora który mówi: „nie przeczę nigdy temu czego nie znam”, wreszcie dowcip w krytykowaniu ciał akademickich i śmiałość w wypowiedzeniu nowych prawd.

„Szukając dobrze — ciągnie dalej recenzent — znajdujemy pod pozorami suchego i niewzruszonego logika, artystę, artystę który umie wprawdzie okiełznać swą wyobraźnię i swój zapał dla dobra i piękna, ale który nigdy go całkiem nie poskromi. Po tem wszystkiem nie będziemy się dziwili, że magistralna konkluzya autora, zapowiada filozofa, który mógł zsyntetyzować wszystkie te piękne zdolności na pożytek nauki.”

Następuje streszczenie książki, zakończone takiemi uwagami: „Nigdy kwestya różnych stanów i faz hypnotycznych, nie była przedstawiona tak metodycznie i w sposób tak wyczerpujący. Wszystko cokolwiek wykryto w magnetyzmie i hypnotyzmie, jest tu wyłożone i wyjaśnione... Skromny tytuł książki dotrzymuje więcej niż obiecał... Jest to traktat kompletny o magnetyzmie i hypnotyzmie (które pan Ochorowicz odróżnia), traktat oryginalny i przewyższający naszem zdaniem, o wiele wszystko to co dotychczas w tym przedmiocie wydano.”

CZEMU?

Czemu, gdy ciepły świeci blask słońca,
Powietrze przenika wonią,
Oczy twe dziewczę, smętnie, bez końca,
W przestrzeni dalekiej gonią?

Czemu, gdy chmura zwisa z błękitu,
Burzę zwiastując nam srogą,
Dusza twa młoda, pełna zachwytu,
Przejęta nie bywa trwogą?

Czemu, gdy zda się, żeś jest szczęśliwa,
Że nic cię, dziewczę, nie boli,
W duszy coś nagle twojej się zrywa,
Co wbrew twej dzieje się woli?

Czemu? Bo wiedzieć musisz dzieweczko,
Że nic nie trwałe na świecie,
Ni łzy, ni burze; a i słoneczko
Nie zawsze grzeje nas przecie.

Że wszystko mija, słabnie, maleje,
Jak w życiu, tak i w naturze,
Szczęście, fortuna, słodkie nadzieje,
Nawet na licu twem róże!

Helena Ros...

PIERWSZE KŁOPOTY.

NOWELLA

Świętopełka Czecha.

Z czeskiego przełożyła

Helena R.

(Dalszy ciąg.)

Obaj panowie przez chwilę milcząc, spoglądali na siebie; kiedy jednak oryginalny gość z głowy zdjął swój kapelusz dziwaczny, ukazując przytem gęste, jedwabiste, czarne jak heban kędziory, które nawiasem mówiąc, młoda dziewczyna z ukrycia swego podziwiała niemało i uśmiechnął się do pana Wielimskiego, wówczas ten

ostatni radośnie wyciągnął ramiona i serdecznie uściskał przybysza.

— Ah, witajże witaj, drogi przyjacielu! czy to ty Leszanie?

— No tak, to ja, kochany Prokopie, na honor ja! Czemuż się tak dziwisz? Na Boga nie posądzasz mnie chyba, żebym do ciebie z tamtego wracał świata. Jestem żyw, a najlepszym tego dowodem jest to, żem dyabelnie głodny. Sądzę, że w sieni mnie przyjmować nie będziesz, prowadźże więc dalej a każ, proszę, coś podać, bo mi okrutnie zaschło w gardle.

Po ich odejściu Jarmiła się szybko ze schodów spuściła. Na ganku cała gawiedź rozprawiała żywo, a na widok panienki rozeszli się wszyscy, każdy w swoją stronę, ogrodnicy tylko oboje przystąpili do dziewczęcia.

— A co, panienko? — ozwał się stary — sprawdza się stare przysłowie. O wilku mowa a on jakby na zawołanie się zjawia. Niespodziewałem się tego, oh nie!

— Ale powiedzże wreszcie, nieznośny gaduło, że to najlepszy przyjaciel naszego pana — napominała go surowo małżonka.

— No i jakże? panienka przecie wie kto to taki. Ot nie ma kwadransa jak o nim mówiłem. No proszę. Po tylu latach poznałem go odrazu, panienko, odrazu tak, tak odrazu.

— Ale któż to jest! któż to jest? — zapytała zniecierpliwiona Jarmiła.

— Jakto? nie poznaliście go, panienko? Toż to ten malarz właśnie. Ten sam, który dawniej tak często do pana naszego przyjeżdżał. Tylko, że się bynajmniej nie dziwię, że go panienka nie poznała. Szkaradny jest jak dyabeł prawdziwy, a przytem zbrzydł jeszcze więcej.

— Ah! ty niepoprawny! — wykrzyknęła ze zgrozą żona — jak ty się odzywasz o przyjacielu pańskim? Dawniej, zwyczajnie jak młody człowiek, był sobie wesoły to prawda, ale przez ten czas zapewne się musiał już ustatkować.

— O tak! — krzyknął rozjątrzony ogrodnik — patrz na to — i ukazał jej puzderko z pędzlami, farbami, płótnami... no patrz, to właśnie dowód, że się rzeczywiście poprawił — dodał z urąganiem.

— Kto to wie, czy to jego są prace.

— Ty dużo wiesz! dużo wiesz! Zobaczysz jak się na nim zawiedziesz! On gotów — dodał z przymusem — i twoją osobę wymalować. No, ale ja mu sprawię... Każę z przeznaczonego dlań pokoju wszystkie sprzęty powynosić a natomiast postawię mu prosty stół z ogrodu, na którym już będzie mógł i sypiać i jedno krzesło. Zobaczycie, panienko, jakie tu będzie gospodarstwo, jeżli on u nas dłużej zostanie, a że zostanie to rzecz niewątpliwa — rzekł, ukazując z pogardą pudełko.— No, ale pan mój nie zatrzyma go długo, jestem tego pewny.

Tak pocieszony oddalił się szybko, aby się zająć urządzeniem pokoju dla gościa. Ogrodnikowa korzystając z nieobecności męża, jęła przekonywać Jarmiłę, że pan Leszan jest sobie poprostu wesoły i dowcipny człowiek. Lubi malować, to nic dziwnego, wszak na to jest malarzem a towarzystwo jego nietylko, że nie zaszkodzi panu ojcu waszemu, ale owszem, panienko, rozweseli go trochę i przywyknie może napowrót do ludzi.

Jarmiła udała się na górę. Na schodach zetknęła się z panną Bożycką, chcącej się również czegoś o niezwyczajnym gościu dowiedzieć. Chociaż z udaną obojętnością przyjęła opowiadanie Jarmiły, jednak w duszy szczerze zadowoloną z tego była. Pędząc życie prawie klasztorne, obie panie skazane były na ustawiczne towarzystwo nieśmiałego i wciąż rumieniącego się młodego Janusza. Podobna więc rozrywka, jak przyjazd malarza, którego sława w świecie artystycznym zaszczytne zajmowała miejsce i aż do ich ustronia rozgłos przyniosła, mogła nietylko młodą dziewczynę, ale nawet i pannę Bożycką uradować.

Kiedy wieczorem weszły do jadalnego pokoju, zastały tam tylko pana Wielimskiego i Janusza, który naturalnie swoim zwyczajem, wyszukawszy najciemniejszy kącik, umieścił się tam tak, że go raczej można było odgadnąć niż widzieć. Leszana nie było, oddalił się do swego pokoju, aby uporządkować zmięte w podróży ubranie. Wkrótce wrócił i przy świetle lamp wydał się paniom nietylko że nie brzydkim, ale owszem wcale pięknym mężczyzną. Jasne, pogodne czoło jego, pięknie odbijało od reszty ogorzałej twarzy. Miłe oczy jego figlarnie na towarzystwo patrzące, jaśniały życzliwością i nieskończoną wesołością, a wyraz ich harmonijnie się zlewał z rozkosznym uśmiechem ust jego. Gospodarz przedstawił mu obiedwie panie, i ma się rozumieć, że najprzód Jarmiłę. Ujrzawszy ją malarz, odezwał się na swój sposób dość rubasznie:

— Boże mój, jakąż ty śliczną masz córkę! Ależ piękna jest od stóp do głowy... Wybacz mi, śliczna, mała panienko, że w ten sposób do ciebie przemawiam, ale jestem niepoprawny w mówieniu prawdy każdemu.

Dzieweczka silnie się zapłoniła.

— Cóż to znowu za rodzaj przemawiania — pomyślała. — Czy on myśli, że ma przed sobą dziesięcioletnią pensyonarkę?

Muszę przyznać, że malarz ani na Jarmile, ani na guwernantce nie najlepsze uczynił wrażenie. Tej ostatniej, gdy mu przedstawioną została, oddał ukłon chłodny, konwencyonalny, co naturalnie niewiele się przyczyniło, aby gościem zachwyconą była.

— A gdzieżeś to, Leszanie, w ostatnich czasach przebywał? — zwrócił się pan Wielimski do gościa z zapytaniem.

— W podróżach, przyjacielu, ciągle w podróżach. Pędząc życie jak Kirgiz koczujący; zwiedziłem Węgry, Polskę, Ukrainę, morzem Czarnem udałem się na Kaukaz, byłem w Gruzii, a jak to się stało żem do ciebie przybył, to już sam nie wiem. Ot, zwyczajnie natura wilka ciągnie do lasu.

— Droga, którą opisujecie, panie — odezwała się p. Bożycka — bogatą jest w czarowne okolice. Sądzę więc, że album wasze musiało się zbogacić z tego powodu.

— Oh, pani, wracam prawie z próżnemi rękami — rzekł i przy tych słowach po raz pierwszy spojrzał na guwernantkę, a wzrok dłużej jak wypadało zatrzymał na jej szlachetnie pięknem obliczu: z próżnemi wracam rękami — ciągnął dalej z roztargnieniem. Zebrał jednak wnet myśli i począł z żywym rozprawiać ogniem. Aby porównać czarowne malownicze okolice, które w lot przebiegałem z nędzną moją robotą, to tak, jakbyśmy postawili bogacza obok żebraka. Natura jest bogato uposażoną w świetne barwy, takim czarem tchnie wszystko, tak wabi i pociąga człowieka rozmaitością, ciszą i spokojem, że w miarę oddalenia się od uroczej krainy, czujesz w sercu cześć pustkę i chciałbyś wracać czemprędzej, bo wiesz, że szczupły zapas wiedzy w obec nęcącego majestatu twórczej potęgi, wzbogaci się, a ubożuchny twój umysł i oko nigdy dostatecznie się nienasycą wspaniałym widokiem. Nawet wioski i miasteczka w tych stronach są nader malowniczo pobudowane, dodając im wiele uroku. Raz pamiętam, w powrocie z wycieczki w góry spuszczając się ze stromego pagórka, uderzony zostałem uroczystym nastrojem mieszkańców. Był to dzień świąteczny, wszystko więc podążało do kościoła. Mężczyzni byli w wysokich czapkach, w krótkich do kolan z ciemnego, ciężkiego materyału płaszczach z wylotami podbitemi jaskrawą materyą. Ciężki pas złotolity ociskał wierzchnią odzież, a ręka spoczywała na ozdobnej rękojeści kindżała, przytwierdzonego do pasa złotą drogiemi kamieniami sadzoną klamrą. Postacie ich były dumne, wyniosłe, czoło hardo do góry wzniesione, oko żywe, czarne, tchnące żywym ogniem, siłą i odwagą. A jednak waleczni ci ludzie w pokorze i skupieniu ducha spieszyli do kościoła, aby pomodlić się gorąco do Boga.

— A kobiety jak wyglądają? Opiszcie nam ich stroje i obyczaje — przerwała mu żywo Jarmiła.— Powiedzcie, panie Leszanie, czy to prawda, że Mahometanki noszą zawoje zakrywające im oblicza, jak to widać na niektórych rysunkach?

— Oh tak, śliczna panienko, obrazki nie kłamią noszą one zasłony i to nawet bardzo gęste. Kobiety wschodnie w ogóle odznaczają się jaskrawością i oryginalnością w strojach, a olśniewające nadzwyczajną pięknością Greczynki, Gruzinki, Armenki bardzo powabnie i ponętnie wyglądają w malowniczych kolorach. Szczególniej utkwiły mi w pamięci dwie siostry Armenki. Czarującej piękności ich opisać nie potrafię, ale gdym je wówczas ujrzał, wyznaję żem się o mało co nie stoczył wraz z koniem z pagórka, tak silne na mnie zrobiły wrażenie.

— Ah! panie, czy istotnie były tak piękne! — zawołała Jarmiła, a twarzyczka jej wyrażała w tej chwili taką dziecinną, naiwną ciekawość, że nikt nie mógł się wstrzymać od głośnego śmiechu.

— Dlaczego się tak dziwisz, kochana, mała panienko? czy sądzisz, że się wcale nie znam na piękności? — rzekł malarz, patrząc z przyjemnością na purpurową barwę, którą zapłonęły jej lica, gdy się wszyscy śmiać poczęli. — Owszem, znam się, a na dowód opiszę, choć bardzo słabo wdzięki i powab owych dwóch sióstr armeńskich. Płeć ich była nad podziw biała, gładka i czysta, czarne, lśniące, długie kosy, ujęte w pąsowe wstęgi, cudnie odbijały od obnażonych, białych, marmurowych ramion i szyi, ozdobionej różnokolorowemi perłami. Ich oczy płomienne, czarne, ogniste rzucające blaski, przepyszną, aksamitną rzęsą otoczone, gdy spojrzały, zdawać się mogło, że to są oczy dziecka, tak były słodkie, naiwne, pociągające. Jedna z nich niosła w ręku niebieskie, atłasowe pantofelki, złotem i srebrem haftowane, pokazując śliczne, drobne swe nóżki. Wyglądała przytem, jak księżniczka w bajce, taka była urocza! Oczu od nich oderwać nie mogłem, aż znikły za wrotami kościoła, do którego wraz ze wszystkimi podążały.

— Spodziewam się, że się miejsce znalazło dla nich w waszym albumie? — zapytała znów Jarmiła.

— Owszem, starałem się uchwycić ich cudowne rysy, ale sztuka tym razem skrzywdziła naturę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ZBRODNIA W AWERSIE.

TRAGEDYA HISTORYCZNA W PIĘCIU AKTACH,

PRZEZ

Karola Brzozowskiego.

(Dalszy ciąg.)

AKT PIĄTY.

Odsłona pierwsza.

Za Neapolem ustronne miejsce nad morzem. Wysokie kamienie i poprzerywane skały nadbrzeżne, krzaki i bujne chwasty. Noc miesięczna.

SCENA I.

Isolda, Ludwik.

ISOLDA (idzie pomiędzy skałami i przystaje).

Idzie tu. Ludzie jego mnie ścigali —
Zmyliłam pogoń. Ku miastu pognali...
Tu zbójców schadzki... o czyje tu życie
Chodzi? Ah, serca powiada mi bicie...
On...

(Kryje się za skałą.)

LUDWIK (pokazuje się, dochodzi na wysokość miejsca gdzie ukryła się Isolda).

Szelest słyszałem tu najwyraźniej.

(Staje, słucha i machnąwszy ręką.)

W drodze mi stają mary wyobraźni,
W skał tych pustkowiu gwarno mi i ludno,
Może z sumienia mego gwar wychodzi,
Ja nie wiedziałem, że tak strasznie trudno,
W rzeczy jak moja, mieć spokój z odwagą...
Nie myśl co w tobie, a myśl co przed tobą.

(Idzie dalej zamyślony, Isolda posuwa się za nim z drugiej strony skały.)

Hańba się wrócić! Ja tylko się bronię,
Tyś memu życiu zagroził!

(Isolda nieostrożnie strąca kamyk w wodę. Ludwik zatrzymuje się.)

Nie zawodzi
Teraz mnie ucho!

(Staje i słucha. Isolda rzuca parę kamyków dalej w morze.)

Plusk rybek swywolnych!
Nieraz widziałem nad modre wód tonie
Rybki skaczące. I czemu zadrżałem?
Dziwne pytanie! Dziś koników polnych
Może się zląkłbym! — bo też w głowie mojej
Takiej roboty jak dzisiaj nie miałem!
Dwóch ludzi naraz w duszy mojej gada...
Czy tchórz zwycięży, syn sumienia tchórz?
Milcz we mnie tchórzu! — Ha, przyszedłem już.

(Rozgląda się.)

To zda się tutaj. Tak, od brzega piasku
Głaz drugi wielki.

(Patrzy na niebo.)

W tym księżyca blasku
Kat mój! — W twarz księcia blaskiem oświetloną
W twarz moją zbójcy patrzeć będą.
Milcz we mnie głupi człowieku.

(Klaszcze w dłoń dwa razy, trzy klaśnięcia mu odpowiadają, Isolda tym czasem podsuwa się i kryje się za kamieniem, pomiędzy chwastami.)

To oni!

SCENA II.

Ludwik, Zbój pierwszy, Zbój drugi i czterech zbójów.

(Z za wielkiego kamienia wychodzi sześciu zbójów, dwóch na przodzie, czterech nieco dalej.)

ZBÓJ 1-szy.

Jesteśmy słowni, piękny kawalerze,
Sześciu jak chciałeś i mistrzów do broni.

LUDWIK.

Ja tylko z wami dwoma mówić miałem.

ZBÓJ 1-szy.

Ci, jak stu innych jednem tylko ciałem
A ciałem mojem. Zbladłeś kawalerze?
Czy niepokoją ciebie nasze noże?
Wszystkie ci do stóp, piękny panie złożę.

LUDWIK.

Nie trzeba. Wierzę.

(Rzuca sakiewkę, którą chwyta Zbój pierwszy.)

To za trudy wasze,
Jeżeli targu zgoda nie zawiąże.

ZBÓJ 1-szy (do drugiego).

Znać książąt rękę — czuję wagę złota.

ZBÓJ 2-gi.

Targ pójdzie gładko i lekko robota.

ZBÓJ 1-szy.

Wiele ci osób, powiedz piękny książę,
W świecie zawadza?

LUDWIK.

Jedna.

ZBÓJ 1-szy.

Na tę jednę
Sześciu?

(Śmiejąc się.)

Co winne nasze noże biedne,
Że sześć w pierś nędzną każesz wbijać razem,
Gdy jeden starczy?

LUDWIK.

Ramion nie z żelazem
Przyszedłem szukać. Rzecz jasno i szczerze
Stawiam przed wami. Żelazo nie bierze,
Ani trucizna tego co mi w drodze.

ZBÓJ 1-szy.

To więc król!

JEDEN Z CZTERECH.

Walczyć nam z relikwią świętą?
Z strasznym pierścieniem? Toż Neapol cały
Wie, jaki cud w nim!

ZBÓJ 1-szy.

Milczyć!!

(Do księcia.)

To rzecz zmienia.
Tylko pracować my przywykli stalą.
Jakąż więc pomoc znajdziesz w naszej dłoni
Bez stali?

LUDWIK.

Ja go wydam wam bez broni.
Waszą odwagą ja będę i powalą
Razem go przecie wszystkie te ramiona.

JEDEN Z CZTERECH.

Walczyć z pierścieniem!!!

ZBÓJ 1-szy (rozkazująco).

Będziemy! skończona!

(Do Ludwika.)

A co w nagrodzie?

LUDWIK.

Obaczmy żądanie.

ZBÓJ 1-szy.

Gdybym cię związał, mój ty piękny panie,
Król Andrzej czy nas obsypałby złotem?
Zadrżałeś? Twarz ci oblała się potem?
Pot ten mój książę wcale mnie nie dziwi,
Boś w rękach naszych. Ale bądź spokojny!
Wiedz o tem panie, my ludzie uczciwi,
Wszyscy uczciwi! Lecz pamiętaj, hojny
Nigdy nie traci otwierając dłonie
Robotnikowi przy twardej robocie.
Dasz madon dwieście madżiarskich, a w złocie
Każdej rąk parze.

LUDWIK.

Zgoda!

ZBÓJ 1-szy.

Słowu wierzę,
Wydasz bez broni? gdzie?

LUDWIK.

Ze mną będziecie.
Podciąć te brody, bo was się przebierze,
Jako wypada dla mego orszaku.
Na koniach dobrze czy siedzieć umiecie?

ZBÓJ 1-szy.

I na królewskim chociażby rumaku.

LUDWIK.

To dobrze. Ze dwóch trzeba mi łuczników,
Innych się wmiesza między sokolników,
Pomiędzy służbę.

ZBÓJ 1-szy.

Znamy się na ptaku,
Uczyłem kiedyś dla panów sokoły.

LUDWIK.

Wybornie! Ubiór u mnie wasz gotowy,
Jutro o świcie ruszymy na łowy,
W Awersie nocleg; — sokoła bez szponów
Oddam w twe ręce.

ZBÓJ 1-szy.

W sokolnikach służę,
I nie zawiodę, ja go okapturzę,
Ze szatni księcia wziętą rękawicą...

LUDWIK (na str.).

Czy wiedząc ubódł!

(Głośno.)

Pełną rękawicę
Złota w dodatku za kaptur przyrzekam!
Więc brody przystrzydz — gdy minie godzina,
Z ubraniem na was w małym domku czekam.
Jak świt, na łowy wyruszy drużyna,
Nocleg w Awersie, tam sokół bez szponów
Pójdzie w twe ręce. Noc krótka — ruszajcie!
I wiedzcie odtąd jestem waszym panem!

ZBÓJ 1-szy.

Co? panem naszym? Tylkoś nam hetmanem
Na tę wyprawę.

LUDWIK.

Więc wodzem — ruszajcie!
A za godzinę.

ZBÓJ 1-szy.

Staniemy.

(Zbóje odchodzą).

SCENA III.

Ludwik, później jego Dworzanin.

LUDWIK (patrząc za odchodzącymi).

Ich wodzem!
I zbójów wodzem! Kto mi teraz powie,
Jaki jest odwrót takiemu wodzowi?
Więc na przód! — Dobrze, wraca mój dworzanin.

(Dworzanin przychodzi od strony miasta.)

I cóż Isolda? — Na ulicy ciała
Tej nędznej przecie nie porzuciliście.

DWORZANIN.

W zaułkach z rąk się wyśliznąć zdołała.

LUDWIK.

Jakto? Więc sprawę całą zgubiliście!
Przecież kazałem jej ucho i oko
Na sążeń w ziemię zakopać głęboko!
A i na ziemi grubo zasłać liście,
By słuch i wzrok ziemi jeszcze nie przewiercił!

DWORZANIN.

Jeźli towarzysz mój jej nie uśmiercił,
Bo pobiegł za jej odszukanym śladem,
W koło pałacu obstawiłem sieci,
Z tych się nie wymknie ani ich przeleci,
Ni się dostanie do madżiarskich uszu,
By szepnąć jakie słówko podejrzenia,
Żywa nie wyjdzie nam z tego pierścienia
Co już ją ścisnął.

LUDWIK.

Ten pierścień podwoję.

(Odchodzą.)

SCENA IV.

Isolda sama.

ISOLDA (wychodzi z ukrycia).

I ja na ziemi cichej, śpiącej stoję,
C o ma na sobie taki potwór straszny
Co gotów rozbić wszystkie ludzkie serca!
Książę wódz zbójców! on! króla morderca!
W Awersie nocleg. — Biedne moje dziecko
Jako baranek wydane zdradziecko!
Jak strasznie wiodą robotę podziemną!
Przez was, Bóg całą odkrył ją przede mną.
W misterne sieci rozciągnięte zdradnie
Wy królobójce, Isolda nie padnie!
W Awersie nocleg; droga Urticzelli...
Ujdę mil ze dwie nim się świt zabieli!
Przed nocą będę w Awersie — dziecinę
Wydrę z rąk zbójców! — Nie! to być nie może,
Żeby tak ginął! Bóg nie zbójców Bóg!

(Zasłona zapada.)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KILKA DNI W NOWYM-YORKU.

Z NOTAT PODRÓŻY

KAROLA BIGOT.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dalszy ciąg.)

Paryż stał się dla Amerykanów szkołą wytwornego smaku, nierównie więcej przejął od nas niż od Anglii. Domy urządzone w Nowym-Yorku na wzór domów paryzkich. Wprawne oko dostrzeże tu zapewne mniej harmonii, mniej wyrafinowania, zbytnią skłonność do wszystkiego co błyszczy, co bije w oczy jaskrawym kolorytem, alež to inaczej być nie może. Ameryka jest jeszcze młodą, nie miała czasu na wyrobienie smaku wysoko estetycznego, wykształci się w tym względzie prędzej niż Anglia i Niemcy. To cośmy widzieli w umeblowaniu domów i w stroju Amerykanek, przekonało nas o tem.

Wytworne urządzenie domu, kosztuje w Paryżu bardzo wiele a w Ameryce jeszcze więcej. Rachunek paryzkiego tapicera lub paryzkiej modniarki, nader skromny w porównaniu z nowojorskim rachunkiem.

Ale Amerykanin płaci chętnie, bo lubi zbytek, bo pragnie błyszczeć tak samo jak i Francuz. Wydaje ogromne summy na ekwipaże, na wygalonowanych stangretów i lokai. Liberya długa nieznana w Ameryce, weszła tu w modę od lat kilku. Snać demokracya z po za oceanu, przejmuje od nas najmniej demokratyczne zwyczaje, nie wiem czy można powinszować jej tego.

Otrzymaliśmy zaproszenie do klubu w mieście Brooklyn, leżącego po za rzeką *East River*.

Jadąc tam, spotkaliśmy w Broadway ciekawą procesyą. Wybory municypalne zapowiedziano tu na przyszły wtorek, trzech kandydatów przedstawia się na urząd Mera; jeden kandydat republikański, drugi demokratyczny, trzeci socyalistyczny. Ostatni zowie się Henryk George; procesya urządzona na rzecz jego kandydatury. Parę tysięcy ludzi czterema rzędami, przebiega ulice Nowego Yorku. Niosą w ręku pochodnie i kolorowe latarnie zawieszone na długich drągach, chorągwie i transparenta z napisem George, ogromne programy i drukowane paszkwile na przeciwników. Ulewny deszcz nie przeszkadza manifestacyi.

Pojazdy nasze minęły most Brooklyn, stanęliśmy przed bramą, rzęsisto oświetlonego klubu.

W Brooklyn miła czekała nas niespodzianka. Dotąd przyjmowali nas sami tylko mężczyzni, smutno było mieć zawsze przed oczami czarne fraki i białe krawaty; a nie znaleźć się nigdy w towarzystwie Amerykanek. Klub w Brooklyn gościnniejszy od innych. Tu przyjmowały nas strojno przybrane panie; towarzyszki podróży naszej otrzymały też zaprosiny.

Gdy wchodziłem do sali, ładna Amerykanka z okiem pełnym wyrazu, ujęła mnie pod ramię, zapytała o nazwisko, przedstawiła mnie prezydentowi i głównym członkom Klubu. Salony urządzone tu z wielkim gustem, pełne kwiatów i zieloności. Od czasu do czasu muzyka przygrywa, ale półtonem, aby nie przeszkadzać rozmowie.

Parę godzin prędko ubiegło na rozmowie w angielskim i francuzkim języku, na przeglądzie świeżych strojów i świeższych jeszcze twarzyczek. Nasz uprzejmy dziekan p. Lesseps przedstawiał się pięknem paniom i pannom. O północy ofiarowano nam wieczerzę, rozmowa toczyła się ożywiona. Ten wieczór w Brooklyn należy do najmilszych z całej podróży naszej.

* * *

W niedzielę rano, za obudzeniem spotkała nas miła niespodzianka. Podczas nocy deszcz ustał, niebo jeszcze trochę przymglone, lecz zmiana wiatru zapowiada pogodę. Zbieramy się wszyscy na dworcu nowojorskiej centralnej kolei. Pan Chauncey czeka już na nas, spotykamy również uprzejmego sekretarza komitetu amerykańskiego p. Ryszarda Butler z śliczną córką i miłym zięciem p Glenzer. Zajmujemy nasze miejsce w wagonie p. Wanderbilt.

Wspaniały ten wagon, obejmuje kuchnię, wielką salę jadalną, urządzoną z przepychem, pokój sypialny i śliczny buduarek. Ponieważ zaciasno tu dla wszystkich, dodano jeszcze do specyalnego pociągu drugi wagon niemniej wytworny.

Przebiegamy w mgnieniu oka most na odnodze morskiej, oblewającej wyspę, na której Nowy-York zbudowany i otóż pędzimy lewym brzegiem Hudsonu. Przez cztery godzin do Albany, droga idzie wybrzeżem w górę rzeki.

Nieraz już opisywano malownicze brzegi Hudsonu. Śliczne są rzeczywiście, trudno wyobrazić sobie cudniejszy i bardziej urozmaicony krajobraz. Tu zielone wzgórza skłaniają się łagodnie ku rzece, tam znów urwiste pagórki sterczą prostopadle nad wodą gęstym pokryte lasem. Ren pomiędzy Kolonią a Moguncyą, Dunaj między Orsową a Belgradem, nie przedstawiają się wspanialej. Okolica nie ma wcale dzikiego pozoru, przeciwnie, ślad człowieka do zbytku tu widoczny. Na każdej stacyi, na każdym parkanie, na murach każdego domu, na skałach nawet, widzisz tu ogromne napisy zalecające ten lub ów przemysłowy produkt. Pomału jednak reklamy te ustępują. Na lewo po za rzeką, na prawo, gdziekolwiek rzucić okiem, na wzgórzach piętrzących się dokoła, spostrzegamy tylko wille i zamki w rozmaitym stylu, otoczone wielkim parkiem. Tu zamożne rodziny pobudowały sobie letnie rezydencye, wszystko to tworzy obraz nadzwyczaj ożywiony.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z KRAINY PIĘKNA.

Wystawa konkursowa

Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Stając wobec skromnej wiązanki prac nadesłanych na wystawę konkursową, doznaje się nietylko wrażeń rozczarowania, ale i zdumienia, zdziwienia jakie ogarnia zwykle na widok łatwej na pozór, a jednak niedającej się rozwiązać zagadki. Malarstwo nasze stoi bardzo wysoko, rozwija się, dosięga rozkwitu, tworzy nową szkołę, echem sławy po całej rozbrzmiewa Europie. Pewniki te powtarzamy sobie ciągle, narzucamy je innym nawet, upajając się wielkością naszych mistrzów, wtedy gdy wszelkich innych brakuje nam narkotyków. Wtem nadchodzi zeszłoroczna wystawa konkursowa, a zelektryzowana nią publiczność, ujrzawszy dzieło nagrodzone, podnosi bunt głuchy.

— Nie takiego chcieliśmy obrazu — woła. — To może dobrze wykończone, akademickie w spokoju swym i układzie, ale martwota całości, siny trup i brzydkie o pospolitych rysach, nazbyt ziemskie anioły, nie czynią na nas żadnego wrażenia, pozostawiają nas tak zimnymi, jak same zimne są i bez wyrazu!

— Prawda... — usprawiedliwiał się z zalęknieniem któryś z sędziów — ale kiedy, kiedy nie było lepszego.

Tłum oburzył się do żywego.

— Co, u nas wśród najświetniejszej doby malarstwa, w czasie gdy „mistrze" wyrastają jak grzyby po deszczu, nie ma lepszego obrazu? Ależ to żarty! My jak zechcemy, arcydzieł zliczymy na dziesiątki.

Wtem baczny rzut oka rzucony po sali, starczył za odpowiedź. W rzeczy samej „Pod strażą aniołów" Kotarbińskiego, pierwszorzędne zajmowało tu miejsce! Że jednak kilka mniejszych dzieł pędzla artystyczną przedstawiało wartość, nie tracono więc fantazyi.

— Ho, ho! — wołaliśmy z przechwałką — poczekajcie, to tylko chwilowy zbieg okoliczności. „Mistrze" nie zdążyli prac nadesłać. Zobaczycie jak się stawią do apelu na rok przyszły. Ukoronujemy nowe arcydzieło.

Rok minął i zamiast arcydzieła, mamy pustki. Ale to takie pustki, iż tym razem sędziowie nawet *faute de mieux*, żadnej nie mogli przyznać nagrody.

A jednak malarstwo nasze kwitnie. Na czem więc polega zagadka?

Czyżby artyści czuli specyalną wzgardę ku wystawie Towarzystwa Zachęty? Nie, instytucya ta cieszy się ogólną sympatyą, zagadka więc jak sądzę na tem polega, iż wybitni naprawdę malarze, nie chcą się pospolitować stawaniem do konkursu, po za tą łatwą zaś do zliczenia garstką rzeczywistych talentów, poziom ogólny królestwa barw, został u nas przekrzyczany i przechwalony nieco, czem upoważniona młodsza brać Appelesa, pozwala sobie na wystawę potężne przesyłać miernoty.

Przypatrzmy im się zblizka. Zobaczymy jakie też wywierają wrażenie, nie na znawcach i krytykach z profesyi a na zwykłej publice i przeciętnym lubowniku malarstwa.

Oto u wejścia, na prawo, witają nas trzy studya podpisane mało znanem nazwiskiem Mieczysława Reyznera: Blondynka, Brunetka i Profil. Pierwsze dwie z biustem w gazę spowitym i wysoką niby grecką fryzurą, są tak nieszczęśliwie zmanierowane, tak przekrzywione i wykrzywione, iż Blondynce w tej nienaturalnie naciągnionej pozycyi, kark oddawna ścierpnąć już musiał. A że przytem biedactwo brzydkie niepomiernie i dlatego zapewne na wzór wszystkich szpetnych kobiet tak się kryguje pretensyonalnie wobec obcych, więc aby jej przywrócić swobodę ruchów, odwracamy co najprędzej do:

Krajobrazu Chełmońskiego Józefa. Niestety, utalentowany artysta, także nas do lepszych przyzwyczył już rzeczy. Ten płaski, bezbarwny widok, nie podniesiony nawet bujną roślinnością stepu, a tchnący pustkowiem, może posiadać wszystkie zalety dobrego i wytrawnego pędzla, ale widz przyznający mu to *succes d'esstime*, równocześnie tłumi ziewanie. Jedyne żyjące istoty mające ożywiać szary ten krajobraz, szare również dropie, odczuwają snać wrażenie widza, bo senne same, zbiwszy się w gromadkę, drzemią bez ceremonii.

Wogóle, pejzażyści nasi grzeszą przekonaniem, iż każdy mostek, łączka lub strumyk, przeniesiony na płótno, utworzy czarowny krajobraz. Przyroda wymowniejszą zwykle bywa od pędzla; każdy więc zakątek przez nią ożywiony, pięknym nam się wydać może, szczególniej jeżeli nas z nim osobiste łączą wspomnienia, chcąc jednak rzeczywistość uwiecznić w ramach obrazu, należałoby dobierać więcej urozmaicone widoki, lub na tle ich uwydatniać jakąkolwiek akcyą, pozór życia nadającą całości.

Zrozumiawszy prawdę tę, p. Kazimierz Mirecki, spróbował odtworzyć nietylko ruch i akcyą, ale nawet dramatyczną sytuacyą. O ile mu się to udało, zaraz zobaczymy.

Na pierwszą wyprawę to obraz niewielki rozmiarem, ale o nader wdzięcznym pomyśle. Na tle bogatej, staroświeckiej komnaty, piękny, czarnowłosy młodzian klęczy u stóp matki. Strojne szaty, karmazynowy żupan i pas lity, zdradzają, iż syn szlachetnego domu wybiera się na jakąś uroczystość, dość zaś rzucić okiem, aby przekonać się, iż ucztą tą będzie pierwsza wyprawa na plac boju. Kornie schylony przed rodzicielką, odbiera on z rąk jej wspaniałą karabelę, pamiątkę po dziadach zapewne.

Skarbu takiego nie oddaje się lekkomyślnie, matka też z ręką wyciągniętą i oczami zwróconemi na wielki wiszący naprzeciw portret, wskazuje mu przedstawioną na nim marsowatą postać hetmana z buławą w ręku, buławą, której i on przez pamięć na ojca, krwią i trudem dosłużyć się powinien. Para wyrostków ukrytych za firanką i stary sługa stojący u drzwi z szyszakiem, przysłuchuje się tej scenie pożegnania, w której matka spartanka, nie, matka Polka, o sercu spartańskiem, zamiast szlochać nad jedynakiem, idącym na plac boju, zdaje się zachęcać go do waleczności i męztwa.

Jaki doskonały pomysł! Co za chwila do pochwycenia dramatu rozgrywającego się w sercu kobiety i obywatelki, w duszy młodzieniaszka idącego na plac boju, gdzie ojciec jego hetmanił. Niestety wykonanie nie sprostało myśli. Z sytuacyi pełnej uczuć wstrząsających, powstał... szablonowy obrazek. Ta matka, pozbawiona powagi i majestatu polskiej matrony, to poprostu jakaś mieszczka, zamłoda na takiego syna, a mogąca mu z tą samą miną zalecać: „Bój się Boga, nie złam tej szpady, bo drogo kosztuje." Młodzian słucha jej też bez żadnego wyrazu, ze znudzeniem prędzej, stary sługa zaś, zdaje się myśléć. A skończcież prędzej, bo nie mam czasu."

Powiększyć postacie, dać typ szlachetny matrony, odtworzyć dramat rozgrywający się w duszy tych trojga ludzi, a pewno komitet konkursu nie mógłby powiedziéć, iż żaden obraz nie zasługiwał na zaszczyt pierwszej nagrody.

Anat. Krzyżanowski.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Kiedy u nas już z początkiem bieżącego miesiąca cieszono się nadzieją powrotu wiosny, w krainach wyłącznego panowania słońca zima na dobre się rozgospodarowała. Przy kilkostopniowym bowiem mrozie, Barcelona i w długim promieniu okalająca ją okolica, miejscowości przeznaczone na pobyt zimowy dla chorych, pokryte zostały grubą warstwą śniegu. Ludność miejscowa z otwartemi z podziwu ustami stała przed drzwiami domów swoich, patrząc na zjawisko mało sobie znane. Palmy i pomarańcze osypane owocem, pokryte białym całunem łamały się pod ciężarem śniegu, na ulicach nie było widać ani jednego pojazdu, ludzie nie wiedzieli co począć a nieodziani dostatnio marzli srodze na dworze. Ale i w mieszkaniach mało było lepiej gdyż pieców w nich zupełnie nie ma. Skutkiem też tak niezwykłego mrozu, drzewa migdałowe pokryte już kwiatem wymarzły prawie wszystkie.

Wypadki jakie miały miejsce podczas ostatniego trzęsienia ziemi, nie przestają zapełniać szpalt dzienników zagranicznych. W Diano-Marina wydobyto z pod gruzów po trzech dniach kobietę i dziecko, oboje przy życiu. Przy jednym z domów który runął, balkon z kilku stojącemi na nim osobami, cudem jakimś nie uległ najmniejszemu uszkodzeniu i ludzi zdołano uratować. Jeden z naocznych świadków pisze z Nizzy do wiedeńskiej „Presse", iż póki żyć będzie, nie zapomni widoku młodej dziewczyny, która biegała po ulicach, jak szalona, boso w koszuli i w masce. Jakiś młody *attaché* zagranicznego poselstwa znów miał na sobie za całe ubranie kamizelkę i cylinder. Pomimo ogólnej trwogi para ta była tak komiczna, że nikt, patrząc na nich, nie mógł powstrzymać się od śmiechu. W nocy z poniedziałku na wtorek w Diano-Marina w zburzonym ze szczętem domu dosłyszano płacz dziecka. Z największą ostrożnością kilku ludzi zaczęło sobie torować drogę śród gruzów i dostawszy się nakoniec do wnętrza, znalazło w łóżku małą dziecinę, która niechybnej śmierci uszła tylko dzięki temu, że wokoło łóżka spiętrzyły się spadające belki. Dziecko w sytuacyi tej znajdowało się przez trzy dni, a o kilka kroków od dzieciny leżały zwłoki ojca. Mimo wielkiego osłabienia jest nadzieja utrzymania dziecka przy życiu.

Francuzki astronom, Kamil Flammarion, pomieścił w dzienniku „Voltaire" artykuł, o powodach trzęsienia ziemi, który zakończył następującemi słowami:

„Najlepszym środkiem poznania wnętrza ziemi, byłoby, jak oświadczyłem to już przed ćwiercią wieku, wykopanie olbrzymiej szachty, głębokiej na kilka kilometrów. Szachta taka mogłaby zarazem służyć dla przemysłu, jako niewyczerpane źródło ciepła. Gdyby rządy europejskie, zgodziły się użyć w tym celu wszystkich swoich żołnierzy, odniosłyby zwycięztwo wspanialsze od wszystkich dotychczasowych, zdobytych na polach bitew i rzezi. A ponieważ podczas tak długiej pracy, wojska i rządy utraciłyby wojownicze popędy, byłaby to więc jeszcze, pod względem socyalnym, jedna więcej dla ludzkości wygrana."

Śliczne to marzenie ale na nieszczęście tylko marzenie i to z wielu powodów a przedewszystkiem z owej zaciekłości do wynajdywania coraz większych pocisków śmiercionośnych i sposobów ochrony przed ich zabójczą działalnością.

Jeden z naszych rodaków, niejaki Żaliński, porucznik w służbie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, wynalazł nową armatę, w której siła ścieśnionego powietrza zastępuje siłę prochu.

Wynalazek ten, jak twierdzą kompetentni znawcy, znaczne za sobą pociągnie zmiany w sposobie wojowania szczególnie na morzu, działo Żalińskiego bowiem może wyrzucać na znaczną odległość takie pociski z straszliwą eksplodującą materyą, które z dział ładowanych prochem bez niebezpieczeństwa rozsadzenia tychże, wyrzucać dotąd było rzeczą niemożebną.

Wylot tego działa, ustawionego na murach portu Lafayetta, ma piątą część metra średnicy, długość zaś działa wynosi 18 metrów. Całe jest z żelaza, w pokrywie ze spiżu i wyrzuca celnym strzałem pod kątem 35 stopni pocisk eksplodujący ciężaru 27 kilogramów, na odległość 3,600 metrów. Jeżli skutkiem wynalazku podwodnych torpedów zbliżenie się do nieprzyjacielskiej zatoki i zdobywanie miast portowych, stało się dla okrętów rzeczą niemożebną, to za pomocą działa Żalińskiego, okręt rzucający eksplodujące pociski, będzie mógł dla floty drogę do portu oczyścić, sprowadzając wybuch podwodnych min z bezpiecznej odległości.

W Austryi zaś jednocześnie komitet wojskowo techniczny, zajmował się próbami z tarczą chroniącą żołnierzy od kul karabinowych. Tarcze te są lekkie i mogą być z łatwością przenoszone z jednej pozycyi na drugą. Na próbach z owemi tarczami, był także obecny agent wojskowy angielski w Wiedniu Fraser i korespondent „Timesa". Z karabinami systemu Werndl'a strzelano do tarczy z odległości 100, 50, 20 i nakoniec 10 kroków, a ani jedna kula nie przebiła tarczy. Następnie strzelano szrapnelami, a próba wypadła również pomyślnie. Tarcza jest zrobiona ze ściśniętych warstw bawełny, robionych wedle systemu będącego tajemnicą wynalazcy, a na tej bawełnie od obu stron znajduje się siatka metalowa. Kule karabinowe z broni Werndl'a, spłaszczały się tak, jakby uderzały o żelazną zbroję. Kula mosiężna z karabina angielskiego, przywiezionego na próbę przez pułkownika Fraoera, który strzelał z odległości 30 kroków, wprawdzie przebiła tarczę, ale przy wylocie wyrwała dziurę i upadła na ziemię, co jest dowodem, iż siłę swą całkowicie straciła.

Z tajemnic hypnotyzmu tak tajemniczego i niepojętego, pisma peryodyczne podają nam nowe i wielce ciekawe opisy przeprowadzonych doświadczeń.

Celem wywoływania halucynacyi u ludzi uśpionych przedsięwziął pan A. de Rochas szereg bardzo zajmujących doświadczeń, których rezultat ogłasza w jednym z ostatnich zeszytów „Revue scientifique". W laboratoryum gdzie znajdował się kurek od wody, de Rochas wprowadził pewną osobę w ów stan uśpienia, w którym eksperymentator może w medium swoje wmawiać dowolne różne rzeczy (*état de crédulité*). „Mówię do niego", opisuje de Rochas, „kurek jest otwarty, cała posadzka zalana wodą! On widzi wodę, idzie na palcach do stojącej drabiny i wchodzi na najniższy stopień. Nie mogę kurka zamknąć! — wołam dalej — woda podnosi się ciągle... dochodzi mi do kolan... do piersi... do szyi! Uśpiony, u którego siła wyobraźni coraz bardziej wzrasta, wchodzi wyżej i wyżej, aż nareszcie staje na ostatnim stopniu drabiny; wyraz jego twarzy zmienia się, robi nadludzkie wysiłki, blednie, oddycha z trudnością i utopiłby się niewątpliwie gdybym nie położył końca tej scenie i podtrzymując go nie zakomenderował. „Obudź się!" Doświadczenia podobne są dlatego bardzo niebezpieczne, iż śród zwyczajnych okoliczności wyobrażenie sobie mającej nieodzownie nastąpić śmierci, może takową sprowadzić.

Stan zdrowia znakomitego wynalazcy Edisona, tak się w ostatnich czasach pogorszył, iż wątpliwem jest czy Edison zdoła powrócić z Florydy, dokąd udał się na krótki pobyt. W Grudniu zapadł Edison na gwałtowne zapalenie płuc, które pozostawiło groźne ślady, a lekarze obecnie stracili już nadzieję wyleczenia go. Pracuje on obecnie nad urzeczywistnieniem rozmaitych planów i projektów i pomimo choroby, postanowił je przeprowadzić. Do prac należy kolej elektryczna i zastosowanie elektryczności do wyzyskania całego ciepła przy paleniu węgli; koszta robionych w tym kierunku eksperymentów, ponoszą różne towarzystwa kolejowe. Ostatniemi czasy Edison stał się zwolennikiem spirytyzmu i poświęcał wiele czasu i pracy na próby z fonografem swoim, który ma go połączyć ze światem umarłych. Dziwaczne te eksperymenta zdumiewają wielu kapitalistów, którzy wielkie zaufanie pokładali w jego wynalazkach i budzą podejrzenia co do stanu jego umysłu. Lekarze wszakże wyśmiewają się z tych obaw i twierdzą, że znakomity wynalazca, mimo choroby, nie był nigdy przy zdrowszych zmysłach.

Dowód niezwykłej ofiarności złożyła włoska hrabianka, Marina. Mając wkrótce wyjść zamąż, hrabianka obstalowała w Paryżu za 12,000 fr. kilka tualet, a między niemi suknię ślubną, która kosztować miała 3,000 fr. Na pierwszą wieść o trzęsieniu ziemi, hrabianka drogą telegraficzną odwołała obstalunek, a sumę na tualety przeznaczoną, ofiarowała na ofiary katastrofy. Sama zaś wezwawszy kilka przyjaciółek do pomocy, zabrała się do uszycia skromnej, białej, batystowej sukni, w której niebawem stanie przed ołtarzem.

Druciane turniury. W Anglii zaczynają wchodzić w modę po pierwszorzędnych magazynach turniury damskie z siatki stalowej, a nawet srebrnej, przytwierdzone do kibici za pomocą sztywnego paska, odznaczające się lekkością, sprężystością i elegancyą.

Turniury takie w wiosennym sezonie do sukien spacerowych mają się pojawić i w Warszawie, albowiem ich wyrobem zajął się już jeden z miejscowych przemysłowców według angielskiego modelu.

Grająca turniura.

Jakiś Anglik na pamiątkę pięćdziesięcioletniego panowania królowej Wiktoryi, wymyślił muzyczny instrument, który umieszczony w damskiej turniurze, wykonywa znany, angielski hymn narodowy „God save the queen", jak tylko nosząca ją dama usiądzie. Jeden egzemplarz takiej turniury, wynalazca przesłał królowej.

Pomysł może dowcipny, ale chybia celu, przy wykonaniu bowiem tego hymnu, jak wogole i wszystkich hymnów na cześć panujących, obecne osoby siedzieć nie mogą, tylko stać, muzykalna zaś turniura milknie, skoro tylko osoba mająca ją na sobie, podnosi się z siedzenia.

* * *

Chińska reklama.

Na początku bieżącego stulecia jeden z podróżników przytacza dosłownie następującą reklamę, wywieszoną nad sklepem fabrykanta tuszu w Chinach: „Bardzo dobry tusz, bardzo piękny, bardzo dawny sklep. Mój dziadek, mój ojciec i ja robimy tusz. Jest on piękny, twardy, bardzo twardy, wyjątkowo piękny, czarny przed i potem. Sprzedaję bardzo dobry tusz, pierwszy zakup jest bardzo drogi. Ten tusz jest bardzo ciężki, jest on ze złota, nikt nie może robić takiego tuszu. Inni robią tusz, aby zarabiać pieniądze i oszukiwać, ja jeden robię to jedynie dla honoru. Wiele wysokich osób zna mój tusz, moja rodzina nigdy nie oszukuje. Robiłem tusz dla cesarza i wszystkich mandarynów, którzy go otaczają. Wszyscy porządni ludzie powinni przychodzić do mojego sklepu i wiedzieć moje nazwisko: Ungwanschi Cotschu."

* * *

Bliźnięta.

W Medyolanie mieszkały dwie siostry bliźniaczki, liczące po 18 lat i tak podobne do siebie, że nawet po głosie odróżnić ich nie można było. Pewien młody człowiek, któremu jedna z nich się podobała, myśląc tylko o jednej, zaczął się kochać w dwóch, gdyż obu razem nigdy nie widywał i nie wiedział nawet, że jego ukochana ma siostrę.

Dziewczęta nie zwierzały się także jedna drugiej ze swojej miłości, utrzymując znajomość tę w tajemnicy. Doszło do tego, ze młody człowiek zaprezentował się matce dwóch sióstr, prosząc ją o rękę córki.

Matka nie wiedząc o niczem, zawołała córki obie, nie pewna o którą z nich chodzi.

Można sobie wyobrazić zdumienie kawalera, na widok nadzwyczajnego podobieństwa dwóch sióstr. Decyzya okazała się bardzo trudną i młody człowiek prosił o dłuższy czas do namysłu.

* * *

Zaradność chłopska (prawdziwe zdarzenie).

Rankiem do pani X. zamożnej wsi właścicielki... przeraźliwie skąpej, przybyła w odwiedziny krewniaczka jej, pani Y.

Radość nic nie kosztuje, obsypano ją więc całusami i uściskami z oświadczeniem, że obiad będzie niedługo. Z końmi i Walkiem furmanem, mniej etykietalnie postąpiono: konie postawiono przy pustym żłobie aby... dzwoniły zębami, a Walka przy nich aby im w takt swemi akompaniował.

Na takiej muzyce zeszedł dzień cały. Koniska napróżno rżały za obrokiem, Walek bez skutku oglądał się za poczęstunkiem. Koniska łby smu-

tnie pozwieszały, a Walek czochrał czuprynę jak zgrzebłem i klął na czem świat stoi.

— Bodaj was złe stłukło na tabakę! — myślał sobie i przed wieczorem zaprzągł do powozu, trzasnął z bicza i z trajkotem zajechał przed ganek.

Z okna obie panie wyjrzały i pani Y. zapytała:

— Któż ci kazał zajeżdżać?

— Albo to, proszę pani — odrzekł Walek — nie czas uciekać do domu?

— Właśnie, że nie czas bo tu będziemy nocować.

— Ha! kiedy nocować to i nocować — odrzekł Walek — ale niech w. pani baczy, że o mnie fracha, ale co konie to pewnikiem z głodu zdechną, bo o czczym pysku cały dzień przekiwały łbami przy pustym żłobie jak żyd przy pacierzu.

Nauka w las nie poszła, wygłodzone niebożęta nakarmiono, a Walek później śmiał się skrycie i przechwalał, że jak się pójdzie po rozum do głowy, to człek i sobie dobrze radzi i drugich uczy rozumu.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Karolinie Szydłowskiej w Świstoczy prosimy o przysłanie kop. 60 a książka natychmiast wysłana zostanie.

Pani Biernackiej w Suchym-Kole. Do przesłania książki brakuje kop: 30.

Pani Miedzianowskiej w Aleksiejówce. Książka zaraz zostanie wysłana ale należy się jeszcze 70. kop.

Pani Sławuszewskiej w Tyanie. Księga pracy dla dziewcząt jeszcze nie wyszła w drugiej edycyi.

Pani Jadwidze Kozubowskiej, w Słonecznie, to samo co powyżej.

Panu Mirosławowi Olszamowskiemu, w Kosteńcu na Szląsku austryackim. Na przesyłkę prosimy przysłać kop. 30.

Pani A. Mamrockiej w Giżynie.. Do reszty sprawunków brakło rs. 2 kop. 10 i dlatego wszystkich wysłać nie mogliśmy.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 12 wyszedł z druku i zawiera: Megafon (z drzew).—Ucz się chłopczyno; (wiersz). Kilka szkiców myśliwskich. — Perkoz i jego gniazdo (z drzew). — Wenecya (z drzew). — Czyny nauczające. — Z sierocej doli. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Historya o Ziuni i Michasiu. — Garnek z mlekiem (wiersz).—Różne awantury podczas puszczenia balonu. (z drzew.) — Kulawy (wiersz.) — Drucik. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

OD REDAKCYI.

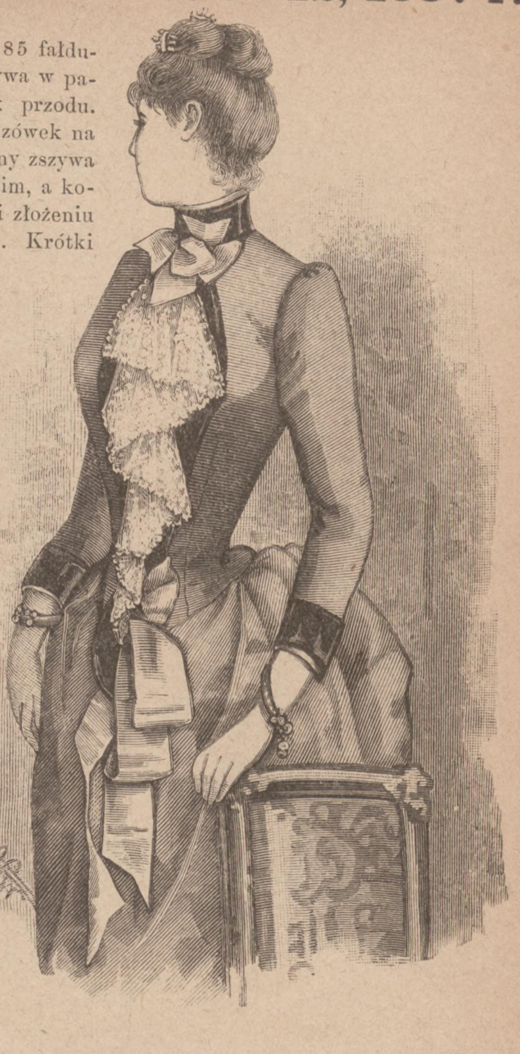
Przypominamy Szanownym Prenumeratorom, że czas już jest ponowić prenumeratę na kwartał drugi bieżącego roku. Warunki i adres znajdują się w nagłówku na pierwszej kolumnie.

Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Марта 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.



N. 1. Suknia z przybraniem kamizelkowym.



N. 2. Suknia z żabotem. Patrz ryc. 14 w N-rze 11.

Opis do N-ru 11.

(*Dokończenie*).

N. 51 i 13. **Suknia** z przybraniem kaftanikowem. Patrz ryc. 10 w N-rze 12.

Uszyta z popielatego atłasu i takiegoż pluszu; jedwabna podszewkowa spódnica z tyłu u dołu na 11 cent. oszyta pluszem, z przodu 18 cent. szerokiem atłasowem plisowaniem, z lewego boku zaś dana podwójna kontrafałda 16 cent. szeroka. Rycina 13 daje wymiar draperyi: *a* oznacza bryt przedni, którego brzeg górny ścięty z boków skośnie w ząb i sfałdowany podług znaków, wszywa się w pasek, dół i boki spuszczone gładko. Z prawego boku dana krótka część *b* z podwójnie wziętej materyi, w górze składa się w płaskie fałdy przyszywa do paska, u dołu na rogu zakończa pasmanteryą. Upięcie tylne stanowią bryty *c* i *d* podszyte w całej długości muślinem, złączone z tyłu pasem pluszu 20 cent. szerokiem; obydwa bryty w górze złożone podług znaków w szerokie kontrafałdy, wszyte są w pasek, brzeg ścięty od 67 do 100 w brycie c i brzeg od 17 do 65 w brycie *d* spuszcza się w pukiel; brzeg boczny bryta *c* 10 cent. poniżej paska podpięty w pukiel gwiazdką do gwiazdki, reszta podpięcia dana podług znaczków i podług ryciny 51. Krótki stanik z baskiną ma z przodu dodane przybranie à la Carmen ze sznelowej pasmanteryi i frendzli, które z tyłu spuszcza się w głęboki ząb; takiż kołnierzyk stojący i mankiety przy rękawach zaplisowanych w zwierzchniej połowie i naszytych plisą pluszową.



N. 3. Suknia z draperyą podpiętą w bufę. Opis przy ryc. 33 w N-rze 11.



N. 52 i 37. **Suknia** z długą tuniką. Patrz ryc. 21 w N-rze 12.

Na spódnicy podszewkowej z brązowej alpagi dana spódnica z piaskowego sukna zakończona obrębem 14 c. szerokiem, założonym na prawą stronę i przestębnowanym kilkakrotnie w odstępach 1 cent. Stanik i tunika są z brązowego sukna; wymiar tuniki daje ryc. 37, *a* oznacza przód którego prawy brzeg boczny sfałdowany podług znaków wszywa się gładko (do 25), dalej do 85 fałduje, od 85—107 znowu gładko wszywa w pasek; linia kropkowana oznacza środek przodu. Po wycięciu materyału podług wskazówek na ryc. 37, zaokrąglony podkrój sfałdowany zszywa się z prostym brzegiem 12 cent. długim, a koniec ścięty skośnie po sfałdowaniu i złożeniu gwiazdką do gwiazdki wszywa w pasek. Krótki lewy brzeg boczny spuszczony podług ryc. 52, przyczepia się niewidocznie na sukni. Tylne bryty tuniki krają się w jednym ciągu z plecami i boczkami podług *b* na ryc. 37, a górna szerokość zmniejsza się do potrzebnej miary przez ścisłe zmarszczenie; boczne brzegi brytów wzięte są trochę do tyłu składając dwukropkiem do dwukropka. Podpięcie dane w kilku miejscach podług znaczków. Na staniku z przybraniem fałdowanem z przodu, kamizelka, kołnierzyk i mankiety są z piaskowego sukna; u dołu przodów rodzaj paska zapiętego kokardą.

Opis do N-ru 12.

N. 1. **Suknia** z żabotem kamizelkowym.

Żabot układa się na podwójnej podszewce ze sztywnego muślinu, mającej 13 cent. górnej a 5 dolnej szerokości, w środku 39 cent. a w brzegach skośnych 45 cent. długości; do brzega górnego w ząb podciętego, przyszywa się kołnierz stojący, 4 cent. szeroki. Koronka czarna 7 cent. szeroka, naszyta perełkami, wywinięta jest na kołnierzu i naszyta wystająco z brzegu, na połowie podszewkowej foremki; drugą połowę pokrywają 2 cent. szerokie plisy z tiulu w muszki z perełek, przedzielane równie szeroką żółtawo brązową, repsową wstążką. Tak rzędy koronki jak i wstążki zachodzą podług formy podszewki, u dołu jedne na drugie; ostatnie zakończone są trzema puklami 10, 13 i 16 cent. długiemi. Koronka zakończona jest u dołu sutą bufą z tiulu w muszki, 4, 7 i 9 cent. długie pukle złączone węzłem zdobią kołnierz; na rękawach dany odpowiedni garnirunek.



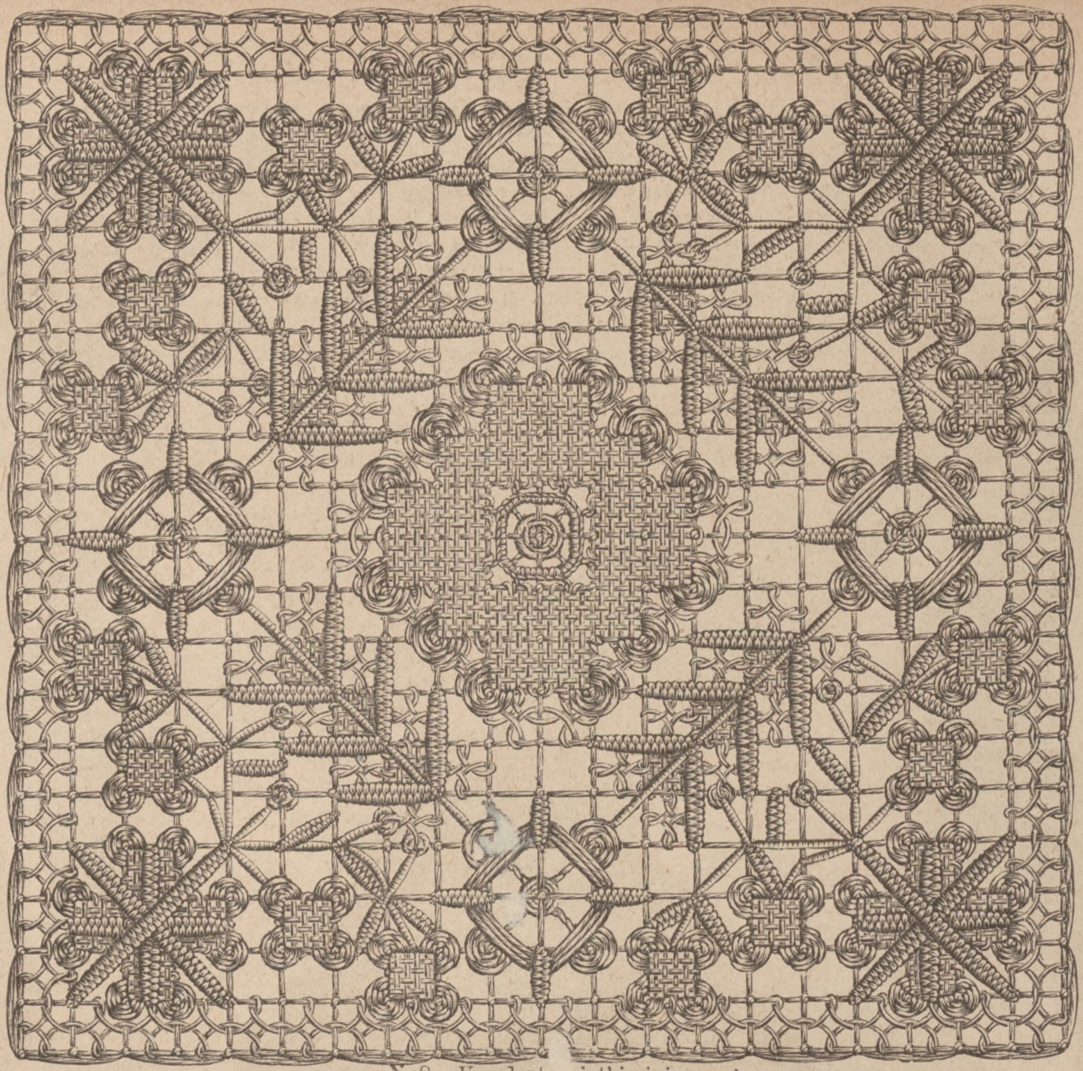
N. 2. **Stanik** z żabotem. Model kroju żabotu na r. 14 w N-rze 11.

Model żabotu odrobiony był z brązowego pluszu, z koronki ècru 16 c. szerokiej, i ze wstążki faille różowej i piaskowej, 6 cent. szerokiej. Ranwersy przykrojone podług ryc. 14, pokryte z wierzchu plu-

wym, $5\frac{1}{2}$ cent. szerokiem a 35 c. długim, na którym naszyty jest wachlarzowo żabot z 95 cent. długiego kawałka koronki. Kołnierz pluszowy podłożony sztywnym muślinem i podszyty materyą, z jednej strony przyszywa się, z drugiej



N. 6. Kapotka sukienna



N. 8. Kwadrat z siatki gipiurowej.

przypina na haftkę do żabotu. Kokardy upiąć podług ryc. 2.

N. 4 i 9. Suknia z draperyą spódniczkową.

Na spódnicy z oliwkowego sukienka, ułożonej w fałdy plisowane, dana jest suta draperya z sukienka oliwkowego. Do prawej połowy przodu stanika z krótką baskiną dodany jest ranwers w górze w okrągłe zęby wycięty, z pod którego wygląda na dwa cent. szerokości, podłożenie z sukna rezedowego. Kołnierz stojący i mankiety rezedowe.

N. 5 i ryc. 20. Suknia z przemarszczanym bocznym brytem.

Na modelu spódnica i stanik pokryte były aksamitem ciemno zielonym, w paski czerwone i żółte, a na draperyę użyty był materyał szorstki, wełniany, zielony. Na draperyę przednią potrzeba bryta 138 cent. szerokiego, któren w górze składa się w dwie potrójne, 18 c. szerokie kontrafałdy i wszywa w pasek; boczne brzegi są gładko do dołu spuszczone, tylko na brzegu prawym dany jest ranwers z materyi zielonej, w górze 6, u dołu 12 c. szeroki. Taki ranwers u dołu 14 c. szeroki, zdobi odpowiedni brzeg bryta tylnego, 112 c. szerokiego, którego brzeg górny składa się w pukiel podług ryc. 5, a resztę fałduje się i wszywa w pasek. Pomiędzy ranwersy dany jest bryt boczny, w dwóch odstępach kilka razy przemarszczany, u dołu w trzy końce przecięty, które są zmarszczone i pasmanteryą zakończone. Stanik z frakową baskiną z tyłu, ma przody kaftaniczkowe dopełnione kamizelką, ozdobione ranwersami i wykładanym kołnierzem. Duże guziki służą do zapięcia i ozdoby.



N. 9. Plecy do ryciny 4.



N. 10. Suknia z kaftanikowem przybraniem. Oots w N. 11 przy ryc. 51 i 13.



N. 11. Suknia ze stanikiem skośnie zapiętym. Opis w N-rze 11 przy ryc. 3.



N. 12. Bok lewy do ryc. 34.



N. 13. Koronka robiona na klockach.

N. 12 i 34. Suknia z draperyą odmiennie upiętą z boków. Model kroju draperyi na ryc. 35 w N-rze 11 Tyg. mód.

Model strojnej sukni odrobiony był z atłasu ècru, w paski brązowe morowe i z moiré-antique brązowej. Jedwabną podszewkową spódnicę oszytą u dołu 10 cent. szerokiem plisowaniem, pokrywa wolant 50 cent. szeroki, z tyłu zmarszczony, z przodu w szerokie kontrafałdy złożony. Na draperyę przednią trzeba część

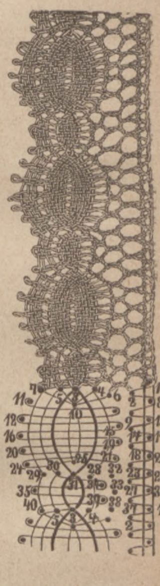


N. 7. Kapotka z piórek.

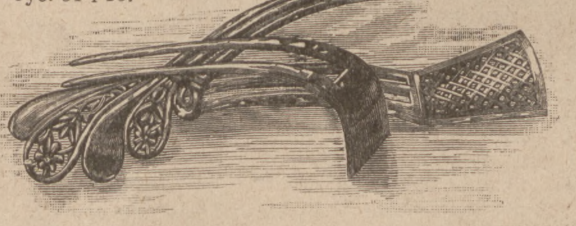
a (ryc. 35 w N-rze 11,) oszyć podług oznaczenia z jednego brzegu pasem moiré-antiqe, następnie brzeg górny, zaokrąglony, od 27 do 150 sfałdować do 33 cent. szerokości i wszyć w pasek, w któren wszywa się także górny brzeg części *b*, przyfałdowany do 21 cent. brzeg zaś boczny przedni przyczepić nieznacznie do przyfałdowanego brzegu części *a*. Brzeg tylny skośnie ścięty, części *b* przyfałdować i przyszyć skośnie na spódnicy. Bryt tylny draperyi *c* podpiąć z boków podług krzyżyków i kropek, a pomiędzy brzeg boczny, lewy i część *b* wstawić w kontrafałdy złożony, bryt z moiré-antique, jak to widać na ryc. 12. Prawy brzeg boczny łączy się od punktu do punktu z górnym, a do krzyżyka z bocznym brzegiem części *a*. Stanik z pekinu z rękawami z *moiré-antique* żabot i ubranie rękawów z tiulu.

N. 15—17. Grzebienie i szpilka szyldkretowa

Na powyżej wymienionych rycinach dajemy pare świeżych modeli grzebieni koniecznie potrzebnych do modnego obecnie uczesania głowy. Ryc. 15 przedstawia grzebień z ciemnego szyldkretu, z ławką 7 cent. wysoką, wyrzynaną w liście matowe i ażurowe. Model do ryc. 17, odrobiony z jasnego ciemno nakrapianego szyldkretu miał ażurową, 4 cent. wysoką ławkę. Ryc. 16 przedstawia szpilkę szyldkretową do codziennego użycia.



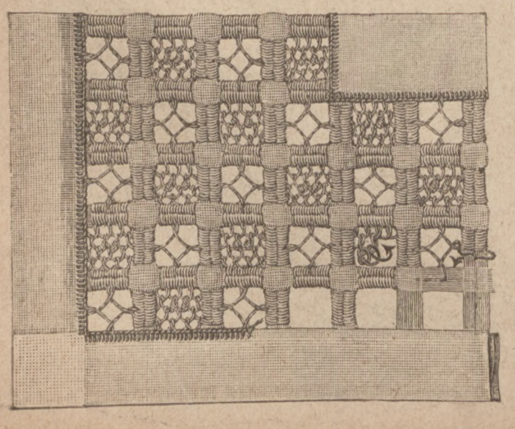
N. 14. Koronka robiona na klockach.



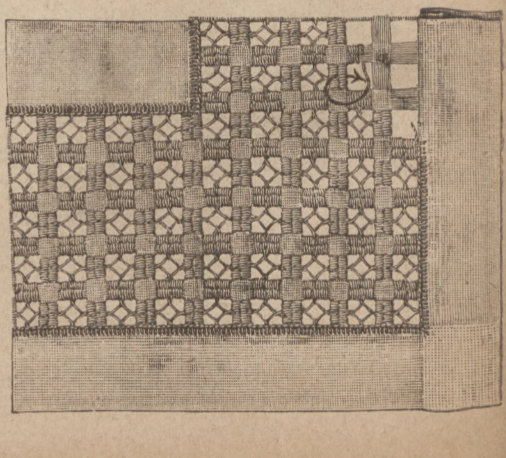
N. 15—17. Grzebienie i szpilki szyldkretowe.

N. 22 i ryc. 20 N-rze 11 Koszyczek do robót, z koronką haftowaną.

20 cent. wysoki z zielonej łoziny upleciony koszyczek, ślicznie zdobi lambrekina koronkowa, haf-



N. 18. Szlak do chusteczki ryc. 27 w N-rze 11.



N. 19. Szlak do chusteczki ryc. 26 w N-rze 11.

towana złotym sznureczkiem i filozelą vieil-or, na atłasie oliwkowo zielonym, ozdobiona kwaścikami włóczkowemi, i gładko przyszytą do podłużnych boków koszyczka, wysłanego wewnątrz podwatowanym i przepikowanym atłasem czerwonawo fijoletowym. Koszyczek stoi na nóżkach 24 c. wysokich skrzyżowanych w połowie wysokości. Na r. 20 w N. 11, dajemy w naturalnej wielkości, dwa naprzemian haftowane zęby koronki, których



N. 20. Suknia z przemarszczonym brytem bocznym. Patrz ryc. 5.



N. 23. Haft kwaścikowy pluszowy na poduszkę do kanapy. Patrz ryc. 16 w N. 11

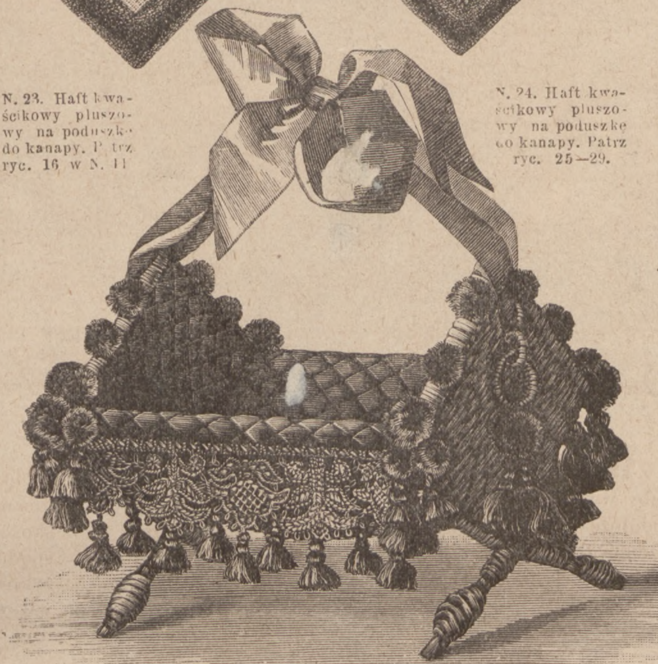


N. 24. Haft kwaścikowy pluszowy na poduszkę do kanapy. Patrz ryc. 25—29.

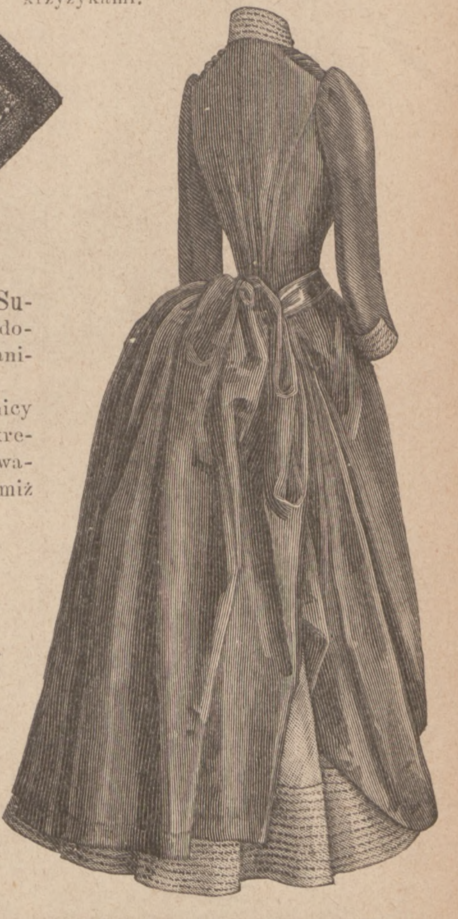
kontury obwiedzione są dwoma rzędami rzadko przydzierganego filozelą, cienkiego złotego sznureczka. Wszędzie na deseniu kolor jasny oznacza złoto a ciemniejszy filozelę. Płaskie pompony z filozeli zdobią brzegi koszyczka.

N. 23—29 i r. 16—17 w N-rze 11. Wzory na poduszki do kanapy. Haft kwaścikowy pluszowy.

Jeszcze w roku 1884 daliśmy opis ściegu kwaścikowego, dziś dajemy nowego rodzaju wzory ściegu kwaścikowego pluszowego, w połączeniu ze zwykłemi krzyżykami. Do r. 23 i 24 tło stanowiła popielata kanwa Aïda, której grubość widzimy na r. 29, haft wykonany (na r. 23 i 29) zielono niebieską lub pąsową (r. 24) bawełną (D, M, C, N. 6). Ryc. 17 w N. 11 daje czwartą część deseniu do r. 24 a r. 16 do r. 23; cienkie kreseczki oznaczają krzyżyki wyszyte na czterech krzyżykach kanwy, a drobniutkie krzyżyki oznaczają ścieg kwaścikowy, który wyszywa się rzędami także każdy ścieg na czterech krzyżykach kanwy, zwracamy uwagę, że w skośnych figurach deseniu, każdy rząd wysuwa się naprzód lub zagłębia tylko o pół krzyżyka kanwy podług r. 28, dlatego żeby brzegi deseniu wypadały skośnie a nie wystawały w zęby. Ryc. 25—27 uczą wyszycia ściegu; zaczyna się robotę zajmując igłą z góry na dół, nawleczoną nitką podwójną złożoną we dwoje i przeciąga nitkę tak, aby koniec 1 c. długi wystawał z wierzchu nad kanwą, dalej rozdziela nitkę na dwie strony (patrz r. 26) i zajmuje jeden ścieg w rzędzie wyższym na dół podług kierunku strzałki, przyczem nitka chodzi w tym samym punkcie gdzie zaczynał się ścieg pierwszy; przyciągnięta równo, odcina się na równi z końcami pierwszego ściegu patrz r. 27. Każdy rząd ściegów rozczesuje się grzebyczkiem i przycina równo ostremi nożyczkami. Dla ułatwienia obliczania deseniu wyszywa się najpierw części odznaczone lub zapełnione zwykłemi krzyżykami.



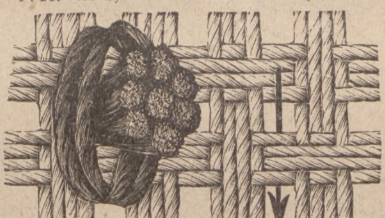
N. 22. Koszyczek do robót. Patrz ryc. 20 w N-rze 21.



N. 21. Suknia z długą tuniką. Opis przy ryc. 52 i 37 w N-rze 11.

N. 30. Suknia z fałdowanym stanikiem.

Przy spódnicy z jedwabnej krepy, garnirowanej takiemiż hafowanemi wolantami włożony stanik którego zwierzchni materyał pleców założony jest w podwójną kontrafałdę na ramionach, a w pasie przemarszczony 8 c. wzdłuż a 6 wszerz. Odpowiednio temu zwierzchni materyał przodów sfałdowany na ramionach, krzyżuje się z sobą i zakończa u dołu kokardami jak to widzimy na r. 3. Krótkie plecy dopełnia karoczko, z kawałka haftowanego wolantu, 100 c. długiego, 14 szerokiego, złożonego w cztery podwójne kontrafałdy. Podszewka pod suknię krepową jest z materyi jedwabnej; kokardy przy rękawkach i opaska na szyję jest z wstążki z pikotami 5 cent. szerokiej.



N. 27. Całkowity ścieg pluszowy. Patrz ryc. 25—29.

N. 31. Suknia z bluzkowym stanikiem.

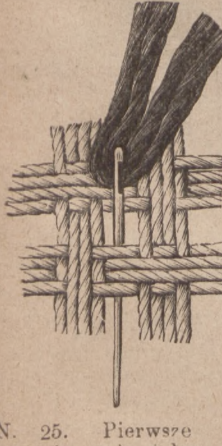
Bluzka wpuszczona pod pasek od sukni, zmarszczona z przodu i z tyłu, na gładko dopasowanej do figury podszewce, zakończona w górze karczkiem w formie kołnierza z podłużnym wykrojem, z kolorowego haftu. Wykrój dopełnia fałdowana szmizetka wszywa w pasek. Rękawki bufowane, zakończone kokardami.

N. 32. Suknia z wysokim gorsecikowym stanikiem.

Ryc. 32 przedstawia suknię jedwabną z pluszowym, gorsecikowym,



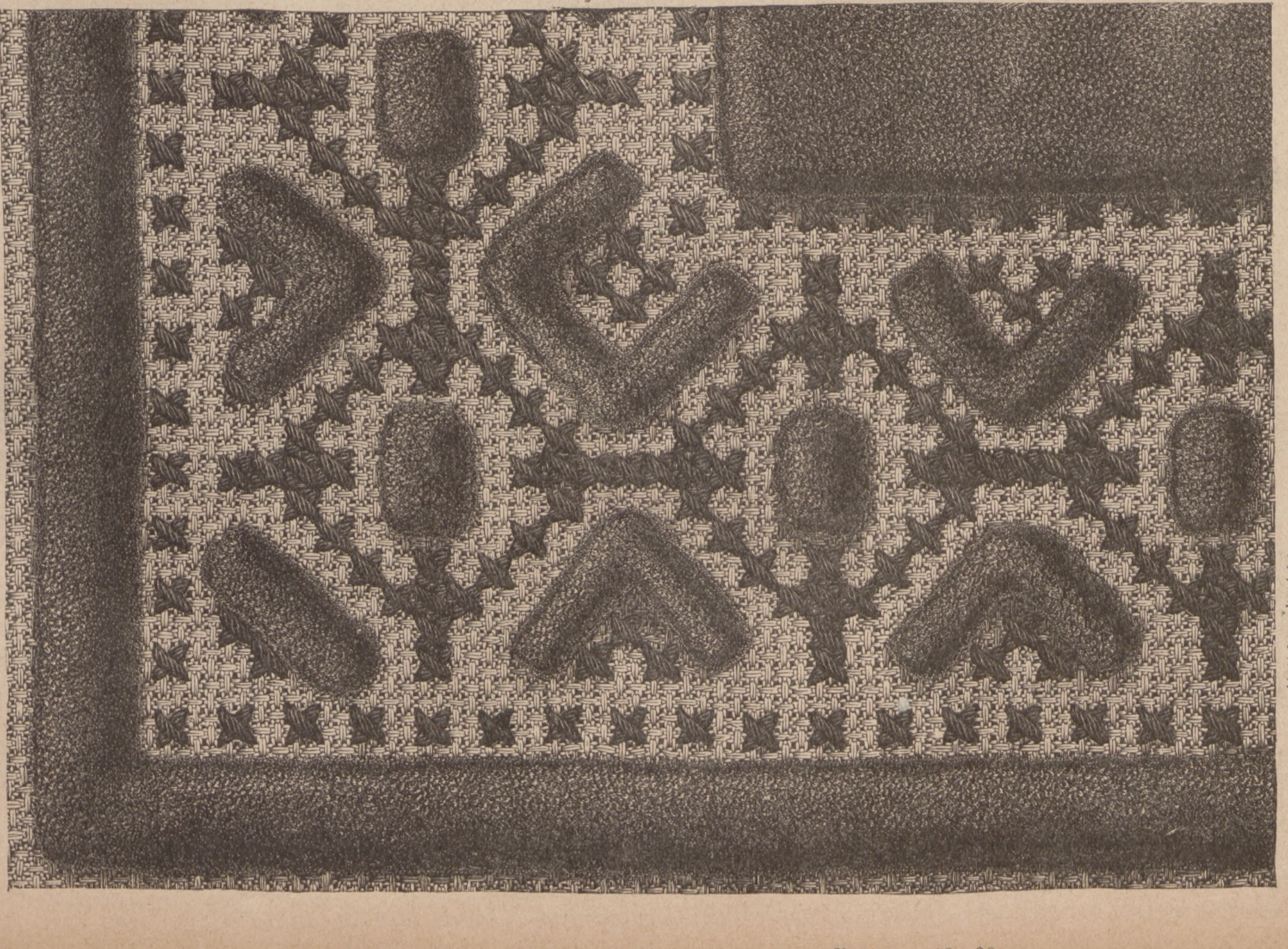
N. 28. Ściegi pluszowe zajmane w skośnym kierunku do ryc. 23—29.



N. 25. Pierwsze przewleczenie igły na ścieg pluszowy. Patrz ryc. 23—29.



N. 26. Drugie założenie igły na ścieg pluszowy. Patrz rycinę 25.



N. 29. Haft pluszowy kwaścikowy na poduszkę do kanapy. Patrz ryc. 23—28.



N. 31. Suknia z bluzkowym stanikiem.
N. 30. Suknia z fałdowanym stanikiem.

N. 32. Suknia z gorsecikowym stanikiem. Patrz ryc. 35.
N. 33. Suknia z kamizelkowem przybraniem patrz ryc. 36.

N. 34. Suknia z tuniką odmienie z bobów upiętą. Patrz r. 12 tudzież r. 35 w N-rze 12.

N. 35. Suknia z wyciętym gorsecikowym stanikiem. Patrz r. 32.

N. 36. Suknia z kamizelkowem przybraniem na staniku. Patrz r. 33.

wym stanikiem z przodu sznurowanym, pod który dodana jest pod szyję dochodząca, w koło w plisowane fałdy złożona bluzka ze stojącym kołnierzem, 5 1/2 cent. wysokim. Przez głęboko podcięte pachy gorsecika wygląda bluzka, od spodu do podszewki przyfastrzygowana. Rękawy do łokcia dochodzące ogarnirowane koronką. Kokardy ze wstążki 6 cent. szerokiej.

N. 33 i 36. Suknia z kamizelkowem ubraniem na staniku.

Na spódnicy atłasowej lila, upięta jest w lekką draperyę spódnica z żółtawej, saskiej koronki, mająca 3 cent. obwodu, którą w górze marszczy się i wszywa w pasek. Podpięcie z jednego boku dane jest w odstępie 20, z drugiego 10 cent. od wszycia w pasek, z tyłu znów w odstępie 20 cent. Przody stanika z krótką baskiną, są przy wykroju szyi i na wcięciu w pasie przemarszczone; kamizelkę zastępują dane z wierzchu dwa końce z 5 cent. szerokiej wstążki ciemno lila. Kokardy, pasek i szarfy przy spódnicy są z połączonej wstążki jasnej i ciemniejszej.

N. 35. Sukuia z wyciętym stanikiem gorsecikowym.

Śliczne, lekkie i świeże ubranie odrobione było z blado niebieskiego atłasu i takiegoż tiulu w rzucik z białych perełek rozsianych jak krople rosy. Podszewkową atłasową spódnicę pokrywa spódnica tiulowa, oszyta u dołu dwiema 8 cent. szerokiemi plisowanemi falbankami i podwójnie złożonym szerokiem wolantem płożonym w kontrafałdy, na któren spadają dwie krótsze spódniczki tiulowe, bez garnirunku. Kokardy i węzły z 5 cent. szerokiej atłasowej niebieskiej i różowej wstążki i bukieciki z kwiatów jabłoni służą do podpięcia draperyi i do przyozdobienia wyciętego gorsecikowego, atłasowego stanika, pod któren dodana jest tiulowa, także wycięta, fałdowana bluzka, na gładkiej, atłasowej, podszewce.